

Eugeniusz Pauksza

Chłopska zawziętość

Fragment powieści historycznej z XVII wieku, z okresu „Potopu” i lat późniejszych. Powieść nosi tytuł — „Straceńcy”. Fragment poniżej ukazuje narastanie rewolucyjnej fali chłopskiej i skłaniającej się do niej drobnej szlachty, szczególnie wśród zawodowych wojskowych, gdzie element szlachecki w chorągwach pomieszany był częstokroć z chłopskim i mieszczańskim. Powieść ta ukaże się nakładem „Naszej Księgarni”.

Strach rządził ludzkimi sercami. Z lasów wychylały się wynędzniałe, zbiedzone twarze, drogami pomykały wychudłe postacie, na lada obcy szelest matki zasłaniały dłońmi usta niemowląt okutanych w podarte chusty. Wioski w większości zmieniły się w pogorzelska, straszące białymi kikutami kominów. Mosty przestały istnieć, na wyschłych rzekach znaczyły się liczne ślady brodów. Dni całe można było wędrować nie napotykając nikogo.

Tak wyglądał kraj pustoszone przez następującą jedną po drugiej wojny.

Takim krajem jechali od Brześcia w kierunku na Kraków rotmistrz Horusz i Wojszwiłło wraz z grupką pocztowych i pacholików. Niedawno przeciągały tędy w obie strony



rys. F. Śmielowski

wojska szwedzkie, bezładną zgrają ciągnął Rakoczy z Siedmiogrodzianami. Wołochami i pułkiem kozackim pod wodzą Antona. Tędy szedł Czarniecki ze swoją dywizją, jak wilk następując w tropy strwożonego księcia, któremu w tym samym czasie marszałek Lubomirski pustoszył rodzinne ziemie. Co jeszcze zdołano ocalać w poprzednie lata, padło teraz pastwą łupieży lub pożaru.

Nawet żołnierzom obeznanym z okrucieństwami, z ponurą codziennością wojny, ciążył taki widok na sereu. Trzeci dzień tkłki się już gośćmi, tak rzadko spotykając człowieka, jakby to był bezładny kraj. Nieorane pola, zarosłe chwastem, szeleszczące nasieniem ostu przedwcześnie dojrzałego w upałach. Wioski, zarosłe już trawą na pogorzeli, zatem spalone przed laty i takie, gdzie nad świeżym popiołem stróżował jeszcze czasami wychudły, znędzniaty pies — znak niedawnego pochodu jakichś wojsk.

Cieżyło było rotmistrzom na sereu. Dopiero teraz w pełni widzieli posiew ostatnich lat wojny, zdrady, pożogi i mordu. Mało mówili w pierwsze dni podróży, spiesząc, byle szybciej minąć wymarłe ziemie i wkroczyć w kra, który żył jeszcze.

Nie była też w owe czasy podróż taka bezpieczna. W osiem koni mało który śmiał ruszyć w drogę. Odwagi jed-

nak rotmistrzom nie brakło. Horusz gnało uczucie, nieznaną dotąd w sereu Litwina miłość. Wojszwiłło diabłu wlażył w paszczę z samej już ciekawości.

Kilkakrotnie spotkali na drodze luźne kupy chłopskie, czasem bogato zbrojne, zatrzymujące podróżnych, wypytujące o drogę i cele, z jakimi jechali. Dowiedzieli się wtedy, że nazwisko Czarnieckiego jest gładem lepszym nad wszystkie pisma hetmańskie. Chłopi z szacunkiem spoglądali na rycerzy „swojego hetmana” wskazywali drogę, udzielali objaśnień.

— Patrz no waćpan, kto pozyskał serca hołoty... A wojować to oni umieją, kto by myślał. Szlacheckie pospolite ruszenie funta klaków nawet nie warte wobec tych chłopów. Co za czasy nastały, chamstwo w honorze szlachty przeważa! — dziwował się Wojszwiłło.

Horusza nie odpowiadał. Rozmyślał ciągle nad stratą najmilszego ze swych pocztowych, młodego Stankiewicza, z chudo pacholskiej rodziny szlacheckiej. Zawieruszył się gdzieś razem z woyniłowiczowym Matulem, razem z wielu innymi z żołnierstwa, częstokroć nawet szlacheckiego rodu. Gadano jeszcze w obozie, że ów Mateusz to nie był sobie taki zwykły stajenny... kto zaczeka jednak na prawdę, nikt nie mógł określić.

Przypomniał sobie teraz rotmistrz wyraźniej niż przedtem niektóre wypowiedzi owego Stankiewicza, pomstującego, że nikt nie zamierza brać poważnie lwowskich słów królewskich, obiecujących chłopom ulgi i znośne życie. Kiedyś powiedział nawet chłopczyko, gdy Sapieha za drobną jakowąś niesubordynację obwieścił kazał dwoje wozaków: „Nie u panów ni u hetmanów w swój czas się o prawa upomnim...”.

Może nie brałby tak tych wspomnień do serca, gdyby nie ciekawy wypadek, z którym zetknęli się już na wieczór drugiego dnia po wyjeździe z obozu sapieżyńskiego. Pragnąc nadrobić nieco drogi na Krasnik, zboczyli leśnym gościńcem na prawo, zaplatali się potem na gęstych rozstajach, brnęli wreszcie nie znając dokładnie kierunku, tyle, co go sobie mogli wytyczyć po słońcu. Ludzi w tym czasie nie napotkali, oprócz zastrachanej starej babiny, która widząc uzbrojonych żołnierzy, zęgnęła się tylko i prócz słów „Jezus Maria, o li tość błagamy Cię, Panie!” — nic z niej nie można było wydobyć.

Bukowy las rozwarł się nagle obszarami uprawionego, dopiero zętego pola. W gęstwie bogatych sadów widniał ukryty dwór. Popędzili konie. Wysadzana lipami aleja wiodła na podwórze ozdobiony gazonami. Kwiaty były potratowane, ze zdobiących gazonów rzeźb zostały zwalone na ziemię szczątki. Z krzewów wyskoczyły z gwałtownym ujadaniem cztery ogary, wychudłe, z przekrwawionymi ślepami. Najstraszniej wyglądał dwór. Zrównany z ziemią, w kilku miejscach dopalający się sączącymi się spod warstwy popiołu strużkami dymu, strasząc resztkami okaleczonych ścian, nawet zwalonym kominem świadczący o groźbie niszczycielskiej dłoni, jaka podłożyła tu ogień.

Grupa jeźdźców w milczeniu patrzyła na ponury obraz. (Ciąg dalszy na str. 2)

Rozpoczęły się wiosenne siewy. Przy sprzyjającej pogodzie wyruszyły na pola traktory i zaprzęgi konne. Wszystkie siły zmobilizowano na ws — ludzi, sprzęt techniczny, siły pociągowe — by sprawnie wykonać prace wiosenne na roli. Od jakości wykonanego siewu zależy przecież ilość chleba, który będziemy mieć do podziału w przyszłym roku.

Odbyły w Warszawie Zjazd Polskiej Zjednoczonej

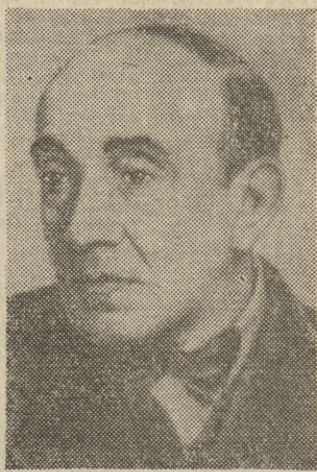
Partii Robotniczej postawił przed pracującą wsią wielkie zadania zwiększenia produkcji rolnej. Dziś — pamiętajmy o tym — decyduje, o ile zdołamy podnieść stopę życiową całego społeczeństwa.

Hasłem wiosennych siewów tegorocznych jest: Każdy hektar ziemi musi dać więcej plonów — więcej ziarna, paszy, roślin przemysłowych!

Wspomnienie o Leonie Schillerze

Napisał:

August Grodzicki



LEON SCHILLER

Zmarł człowiek, który był największą indywidualnością teatru polskiego całego pół-

wiecia. Można było w bogatej drodze życia i twórczości Leona Schillera zobaczyć tę czy inną pomyłkę, takie czy inne zabłaskanie lub potknięcie, ale co do tego nie ma wątpliwości: on wyrósł z polskiego teatru i zrosł się z nim jak najgłębiej, wycisnął na nim piętno niezatarte, stanął w rzędzie najwybitniejszych ludzi scen nie tylko polskich. On w latach międzywojennych był śmiałym, żarliwym propagatorem i realizatorem teatru nowego, wyrażającego rewolucyjne treści społeczne, tworzonego z myślą o ludzi — choć nieraz zawodnymi jeszcze środkami.

W twórczości Schillera odbijał się echem wpływ angiel-

skiego reformatora teatru Cralga, dokonania wielkich inscenizatorów rosyjskich i niemieckich. Ale przy tym wszystkim najściślej związany był z tradycją polskiego teatru i polskiej literatury.

Jako młody chłopak obracał się w kręgu krakowskiego „Zielonego Balonika”. Wychowywał się w nasyconej sztuką atmosferze podwawelskiej „Mody”, a przede wszystkim uległ przemożnemu urokowi Wyspiańskiego, dla którego kultura — temperowany potem rozsądkiem lat dojrzałych — zachował do końca życia.

Świeży i serdeczny żal nad stratą wielkiego artysty przewodził na myśl ze wspomnień

czy już nawet z zapisów historii te jego osiągnięcia, które dostarczyły najtrwalszych i najpiękniejszych wzruszeń. Szukając w pamięci, nie łatwo zdecydować się na ich wybór. Do największych osiągnięć z pewnością należy tzw. „teatr monumentalny”, któremu Schiller dał najpełniejszy wyraz w okresie prowadzenia wspólnie z Horzycą i Zelwerowiczem Teatru im. Bogusławskiego w Warszawie. Ten teatr istniejący w latach 1924—1926 to krótki, ale ważny okres w historii naszych scen. Inszenizacje Schillera (bywał on genialnym inscenizatorem choć nie zawsze dbałym reżyserem) przeciwstawiały się ówczesnej mieszczańskiej pustce repertuarowej. Często eksperymentował, stosował nierealistyczne środki wykonawcze, ale nawet z tak mętnych i w istocie wstecznych utworów jak „Książę Potiomkin” Micińskiego potrafił wydobyć treści rewolucyjne i przede wszystkim oświecić widza niezwykłą pomysłowością teatralnego wizjonerstwa. „Opowieść Zimowa” Szekepsy (po wojnie zasięgnął znakomitą inscenizacją „Burzę”), „Róża” Żeromskiego, „Achilles” Wyspiańskiego, „Samuel Zborowski” Stowackiego — to były widowiska — mimo wszystkich zastrzeżeń, jakie byśmy dziś do nich mieć mogli — stanowiące wielkie i twórcze wydarzenia w ówczesnym życiu kulturalnym. Schiller rozwinął w nich wspaniałą umiejętność operowania tłumami, zadziwiał fantastycznymi kontrastami i efektami wzrokowymi, budował akcje równocześnie na kilku planach, rozszerzał scenę poza ramy teatru normalnego, stwarzał wizję teatralną zrytmizowaną w słowie, geście, muzyce, obrazie. Jego inscenizacje „Nieboskiej Komedii” i „Dziadów” i „Kordiana” liczą się jako szczyty graniczne w scenicznych dziejach tych utworów. One to muszą stanowić punkt wyjścia dla nowych ujęć teatru romantycznego w naszych czasach.

Ale pamiętamy i innego Schillera — twórcę niezapomnianych widowisk ludowych. Jakże cuda umiał on robić z poczywymi „Skalmierzanek” czy „Królów Przedmieścia”. Ize przedziwnego uroku potrafił nadać ludowym składankom szopkowym, zapustnym czy wielkanocnym. Pomagała mu w tym bajeczna muzykalność i szczególne upodobanie do piosenki miejskiej, jarmarcznej, ludowej. Nie tylko do niej zresztą.

Z równie zadziwiającą swobodą Schiller obracał się np. w świecie... piosenki starofrancuskiej. Z muzyczno-plebejskich zainteresowań Schillera wynikała tak dowcipna powojenna inscenizacja „Igraszek z diabłem” Grdy, no i „Krakowiacy i Górale” Bogusławskiego, którego szczególnie ukochał, zapewne za jego miłość do teatru, za jego ludowość i za jego polityczną wymowność.

Bo teatr to była dla Schillera polityka. Wyrażał ją we

Gdy w Poznaniu gospodarowała endecja⁽¹⁾

Delikatne sprawy finansów

Zachowany do dziś protokół z posiedzenia rady miejskiej, to ciekawa lektura. W wielkich, grubych księgach zanotowano wystąpienia czołowych matadorów poznańskiej burżuazji, jej decyzje, uchwały i próby tłumienia wystąpień działaczy robotniczych.

Uchwalono rozbudowę kapitalistycznej spółki

Weźmy dla przykładu rok 1926. Na posiedzeniu 14 kwietnia zajmowano się kwestią elektrowni, której produkcja nie pokrywała rzeczywistego zapotrzebowania. Wydawałoby się, że jedynym rozsądnym wyjściem byłaby rozbudowa starej lub budowa nowej elektrowni miejskiej.

Nie znacie jednak endeków! Mieli oni inne, daleko „korzystniejsze” plany. Pan „wyższy radca krajowy” Bolesław Wybieralski złożył bowiem na posiedzeniu rady miejskiej wniosek o... udzielenie pożyczki spółce akcyjnej „Cegielskiego”. Na rozbudowę jej zakładów, konkretnie: elektrowni. W wysokości 450 000 złotych w złocie (a więc wówczas blisko jeden milion ówczesnych obiegowych).

Kilku radnych, nie powiązanych z poznańskim „wielkim kapitałem” posiadaniem akcji HCP protestowało.

— Jak to? — mówiono. — Mamy rozbudowywać bogate przedsiębiorstwo? Trzeba fundusze zużyć na budowę własnej, komunalnej elektrowni.

Jednak prezes rady miejskiej, wodziący endeckiej większości — inż. Witold Hedinger przeprowadził uchwałę. 21 głosów padło przeciw pożyczce dla HCP.

Kłopotliwe dla miasta paragrafy

Zajrzyjmy do umowy, która wzbudziła protesty. Jej § 4 mówi dosłownie:

„Towarzystwo Akcyjne H. Cegielski będzie oddawało

prąd... pod warunkiem, że odbiór prądu nie będzie się rozpoczynał wcześniej, niż o godzinie 15 w dni robocze...”

§ 7 mówi w punkcie pierwszym:

„...miasto sumy, zafakturowanej mu przez Tow. H. Cegielski za prąd pobrany... będzie je zapisywało tytułem zwrotu pożyczki...”

Dopiero w świetle tych postanowień zrozumiemy, na czym polegał interes spółki akcyjnej. „Cegielski” dostarczał miastu zbytecznego dla siebie prądu, w godzinach, gdy tylko część urzędów było czynna. W ten sposób spłacał pożyczkę sprzedawaną miastu elektrycznością, nie naruszając swoich kapitałów. Endecja rada miejska zużyła więc publiczne pieniądze na rozbudowę prywatno-kapitalistycznego przedsiębiorstwa. Nie trudno chyba odgadnąć, że panowie radni takiego prezentu dla HCP nie zmaglowali bezinteresownie.

A teraz do Londynu i Szwajcarii

Po dwu latach — 8 lutego 1928 r. — znów pan Wybieralski referował sprawę elektrowni. Prądu bowiem było ciągle za mało, a zarząd HCP zastrzegł się, iż umowa wygasa w 1930 roku. Spółka akcyjna planowała bowiem rozbudowę zakładów i dalsze dostarczanie elektryczności dla sieci miejskiej byłoby kłopotliwym ciężarem.

Po długich zabiegach i wycekiwaniach w przedpokojach angielskich bankierów, magistrat uzyskał wierzyciela w „British Overseas Bank Ltd. London”, który jednak postawił nieco kłopotliwe warunki. Pożyczając gotówką 410 000 funtów szterlingów — miasto musiało wręczyć bankowi obligacje miejskie na 500 000 funtów szterlingów. Poza tym od sumy 410 000 funtów szterlingów magistrat płacił 7% w stosunku rocznym oraz pół procent prowizji zarówno od każdej raty długu, jak i sumy odsetek.

Protokół z posiedzenia zapisywał, że p. „wyższy radca krajowy” Bolesław Wybieralski

„zapoznając obecnych z warunkami umowy, przyznał, że pożyczka ta nie jest zbyt korzystną dla miasta. Z uwagi jednak na to, że magistrat musi przystąpić do budowy elektrowni... (tłd. — przyp. wł.).

Z lekkim sercem pożyczkę uchwalono w wysokości nieco mniejszej — 300 000 funtów szterlingów (na zasadach wyżej referowanych), dając poręczność hipoteczną londyńskiemu bankowi i prawo sekwestru wszelkich dochodów komunalnych, gdyby miasto Poznań czegoś na czas nie zapłaciło.

Jeszcze nie obeszeli atryament na jednej umowie, a pociętnie zawarto drugą — z „Schweizerische Bankgesellschaft” na dwa i pół miliona franków szwajcarskich (4 kwietnia 1928) dla tramwajów miejskich. Jeden milion musiał być zużyty, według tekstu umowy na zakup inwestycji technicznych w przedsiębiorstwach szwajcarskich, a reszta dowolnie, jednak pod kontrolą ekspertów wspomnianego banku, utrzymywanych na koszt miasta.

„Nie pozostawali w tyle...”

Nie będziemy w tym artykule przytaczać innych decyzji dotyczących spraw finansowych przedwojennego Poznania. Wystarczy już te trzy przykłady, by zrozumieć, jak endecja kierowała sprawami miasta, w państwie zależnym od zagranicznych bankierów, wykorzystywanym przez kapitalistów do rozbicia tustych interesów.

Poznańscy endecy „nie pozostawali w tyle”. Zadużali miasto za granicą, pożyczając równocześnie społeczne pieniądze wielkiej spółce kapitalistycznej, ubijając przy tym swoje prywatne interesy, jak zobaczymy w następnych artykułach.

JANUSZ LIKOWSKI

(Ciąg dalszy na str. 5)

Chłopska zawziętość

(Dokończenie ze str. 1)

Nawet im, którzy widzieli w swym życiu wiele okropności, kontrast między piękną aleją, między ocalałymi godzinami pośród gazonów krzakami róż i w ponurej groźbie sterczących z trawy członkami greckich posągów — był aż bolesny w swym okrucieństwie. Osmute lekka mgiełka wznosząca się nad przyległych stawów słońce pierwszych dni września, przegłądało się w ulamkach szkła, które lyskało teraz barwami tęczy.

Któryś z pocztowych wyciągów nagle przed siebie:

— Tam, wasze miłości,



rys. F. Śmielowski (2)

tam... — głos mu z lekka dygotał.

Spojrzeni. Za ocalałą w części ścianą prawego skrzydła budynku wznosił się potężny kłon, jak martwy posąg bez najmniejszego szelestu opuszczonych liśćmi bolejącej nad pomurym obrazem. Z grubej gałęzi klonowej zwisały się na konopnych powrozech dwa ciała. Wyglądało, jakby stały na murawie, tak mała przestrzeń dzieliła stopy powieszonych od ziemi.

Wiedzeni nieświadomym odruchem podjechali bliżej. Konię ciałpały krok za krokiem, trwożnie strzygły uszami. Obraz nie byłby może tak przerażający, gdyby nie panująca wokół straszliwa martwota. Nawet odpędzone ogary ucieki podkuliwszy pod siebie ogony.

Wojszwiłło wyprzedził innych, pierwszy zbliżył się do ponurych, zsiniałych twarzy nieboszczyków. Wysunięte na zewnątrz w upale języki zdawały się wyzywać nieznanych morderców.

— Dla Boga, toć go znam! — zawołał półgłosem Wojszwiłło i obnażył głowę. Poszli za jego przykładem. — To krajczy koronny Tusicki. Do końca trzymał ze Szwedem, w ostatnich zaś czasach poprzysiął uległość Rakocemu. On to się obowiązywał, że Zamoyskiego namówi, by Zamość poddał...

Patrzyli w milczeniu na ciała ludzi, którzy zaprzędawszy się wrogowi, taki wreszcie znaleźli koniec. Paru pacholców objęło ruiny dworu, myszując, czyli by nie dało się czym tutaj obłowić.

— Czekaj no wasan, azali to nie Tusicki uciekł z rak kasztelana? Pojmami byli razem ze Schlichtingiem?

— Być może. — Wojszwiłło przeżuwał coś w myślach. Czoło mu się zmarszczyło. Nagle zawrócił koniem, odjechał. Zdziwiony Horusza pospieszył za nim.

— Co to wasanu?

— Ech, wiesz, miły, jużem w domu. Pomnisz, jako to było w Kiejdanach, kiedy się Janusz Radziwiłł Szwedom poddawał? Tusicki był wtedy przy nim. Jeden z pierwszych zawołał, gdy po tościu zapadło milczenie: „Z Karolusem Gustawem nam żyć, miłościwy hetmanie i umierać”. Pomnę, bo mu ktoś stojący w gębie był plunął. W nadgodę dostał od Szweda jakowś starostwo... To, co mówisz, wierutna prawda. Chwy-

cił go, podjazd Czarnieckiego, gdy się na jakiś czas odłączył od Steinbocka, aby zająć do swoich włości. Wyrwał jednak z krza przydrożne, Schlichtinga razem z pojmanym ostawiając swej doli. W Pokrzywnicy Czarniecki rozkazał Schlichtingowi powiesić, a ze zwłok przenieść środkiem obozu dla pokazania towarzystwu jaka pomsta należy się zdrajcom. Obiecywał na ten czas Stanisławskiemu i innym, którzy do Rakoczego przystąpili, taki samy że los zgłotować... Obejrzał się na zwłoki Tusickiego. Wydało mu się, jakby zdradzał nagle. Przybliżył, szepnął: — Jedźmy już zaszę od te-

Twarc mu poczerwieniała, dłoń się macał za szablę.

— Niechaj waćpan... Sam po wie. Jaki hetman te wojska wysłał? Wiele ich było?

— Któż hetman prawdziwy? Toć że tylko Czarniecki... Wiele ich było? Liczyć, panoczku, nie umiem, okrutnie liczne swojejskie wojsko, same chłopcy, tylko dobrze odziane. Wpadli tu jako po ogień, tych owiesili, dwór obłożyli ogniem, wołali, że każdy, kto wrogom służby daje albo kto króla nie słucha w nakazie dobroci dla chłopca, tak samo zginie...

— Kto nimi dowodził?

— Panoczku, toż mnie nie mówili, który ichni najstarszy. Naszych sześci, co jeszcze młodszych tu było, ze sobą wzięli i tyle ich kto widział.

— Czemuś ty nie poszedł? He? — Horusza aż sam sobie się zdziwił, że nie o co innego, jak właśnie o to zostanie pocut pretensję do stojącego przed nim chłopca.

— Jam rańsze już chodził na Szweda — wybuchnął chłop, machnął w powietrze pustym rękawem kurty. Dziw, że dopiero teraz ujrzał. Pod grubym surdudem, narzuconym na ramiona, nie od razu znać było, że stojący przed nim chłop uciął ma prawą rękę... No tak, przecie i szablę przytrzączył przy lewym boku...

— Kto ci to zrobił?

— Juści, że te psiawiry Szwedy. W teje Pokrzywnicy, kędy hetman Schlichtinga obwiesił... Jeszcze latoś pod zimę to było. Czterdziestu nas zostało bez ręki za bicie Szweda.

— A skąd wiesz, co ze Schlichtingiem się stało? — Wojszwiłło ze zdumienia zapominał o gniewie. Może mu też zresztą ten gniew już minął. Pusty rękaw był bardziej wymowny od słów.

— Bez las wieści szybko dąż, panie.

— Toć że ta pustka wokoło, co ty pleciesz?

— Jeno pan huknij po naszymu, wnetki stanie tu chłopca jak mrowia.

— No to ostawaj sobie, a hardości na przyszłość się oducz, bo może ci nie popłacić... — Horusza skinął na swoich, zakreślił między drzewami alei lipowej. Jakby szepot cichy, doleciał go głos chłopca.

— Obu wam takóć mniej by się hardości przydało, panko-wie...

— Coś rzekł? — sapnął Wojszwiłło, obejrzał się, ale chłop powoli odchodził już w stronę dymiących zgłiszcz dworu, nie zwracając uwagi na jezdnych.

— Niechaj waćpan.

— Jak mi białogłowy miłe, cale cię nie pojmuje. Cóżś rap



townie taki łaskawy na chamstwo?

— Ten rękaw wasan widziałeś?

— Widziałem — burknął Wojszwiłło. Nie mówiąc już nic, kłusował obok druha.

W parę godzin później, gdy wreszcie się wydobyli na trakt znajomy jednemu z pocztowych Horusza zagadnął przyjaciela:

— Co rzekniesz na tę chłopską zawziętość, co się w kraju podnosi z takim szumem jak woda w rzekach na wiosnę. Rękę mu Szwed uciął, a hardy bez zmiany. Wiesz, z nich najlepsi żołnierze. Z takimi zaczynał Czarniecki wojować ze Szwedem.

Nowa Czechosłowacja

Zbiór reportaży Andrzeja Piwowarczyka pt. „Podróż czechosłowacka” obejmuje lata przełomowe w historii naszych sąsiadów: 1947—1950. W tych latach — po uniesławieniu próby zamachu reakcji czechskiej z pamiętnych dni lutego 1948 r. — zdecydowały się losy odrodzonej Czechosłowacji. Rok 1949 jest pierwszym rokiem czechosłowackiej „pieciolatki”, która zakończy się w roku bieżącym, zdławiając potężną produkcję przemysłową tego kraju, przeobrażając do gruntu jego ustrój rolny.

Trochę historii

Pisząc o „Złotej Pradze”, od której zacząć trzeba każdą relację o Czechosłowacji ze względu na jej znaczenie dla całego kraju (w Czechosłowacji istnieje — poza Pragą — tylko jedno miasto 300-tysięczne, a 5 innych większych miast liczy od 100—200 tys. mieszkańców), niepodobna pominąć choćby kilku faktów historycznych. Historią bowiem jakby przesycone są mury tego zniewalającego swym pięknem miasta. A więc siedziba dawnych królów, sławny i przepiękny Hradczyn. Wiecznie żywe tradycje husyckie, które — jak pisał Marks — będą zawsze twardzieli prawdziwie narodowym dążeniem Czechów. Wzgórze Žižkovo, nazwane tak na cześć wielkiego wodza husytów, naszego sprzymierzeńca spod Grunwaldu, Jana Žižki z Trocnowa, gdzie na starej kamiennej tablicy odczytujemy następujący napis: „Nieleczna garstka ludzi po-

konala pancerne szeregi sprzymierzonych, ponieważ była przez świadczona o swojej prawdzie”. Tragiczna Biała Góra — dawne pole bitwy (dziś już jedna z dzielnic wielkiej Pragi), miejsce tragicznej klęski narodowej w śmiertelnych zapasach z ekspansją niemiecką. I, gdy przechodzimy do historii najnowszej — olbrzymi plac „Vaclavské náměstí”, na którym pomieścić się może ponad 250 tys. ludzi; tu odbyły się rozpaczliwe demonstracje w r. 1938, kiedy lud czechosłowacki się zdraździł w Monachium.

Przenosimy się do Ostrawy — tego „klucza pięciolatki” czechosłowackiej. Z Ostrawy i jej najbliższej okolicy pochodzi 75 proc. węgla czechosłowackiego, 92 proc. koksu, 80 proc. surowki ze stali, 66 proc. stali. Stąd co godzinę setki wagonów zabierają „pożywienie” dla hut i fabryk Brna, Pilzna, Pragi, Bratysławy i Koszyc. Tu bije główne źródło siły całego przemysłu czechosłowackiego — przemysł ciężki, który rozbudowa jest głównym zadaniem pięciolatki. Przypominajmy, że już przed 5-letnią Czechosłowacją w dziedzinie przemysłu zajmowała ósme miejsce wśród państw świata. A pięciolatka przyniesie m.in. aż trzykrotne zwiększenie produkcji maszyn obróbkę ciężkiej.

W Ostrawie można spotkać bezrolnych chłopów z górskich okolic Słowacji, którzy stali się pierwszorzędnymi hutnikami. — Można spotkać Cyganów, z których bardzo wielu — wbrew wszelkim przesądom, jest pro-

downikami pracy. Można spotkać byłych ekspedientów sklepowych z Karłowych Varów i kelnerów z Mariáńskich Lázní spieszących z legitymacjami górniczymi do kopalń. Nie brak również praskich tramwajarzy, którzy lepiej się czują w roli maszynistów na dźwiękach. Pracownicy biurowi odkrywają w sobie talenty nieprzeciętne szlifierzy, tokarzy, monterów i dźwigają się bardzo, że zarabiają dwa razy więcej niż w burżuazji.

Od Tomasza Bały do Gottwaldowa

Wiedziamy jeszcze Pilzno — miasto zakładów Skody i browarów, produkujących najlepsze piwo świata, sławny „Pilsner”. Tajemnica tej sławy polega na tym, że piwo fermentuje w wykutych specjalnie w pobliżu miasta pieczarach o szczególnych właściwościach. Dalej Brno — „kuźnia Moraw”, miasto trzystu kominów, czechosłowacka Łódź, o najstarszych tradycjach ruchu robotniczego. Z brneńskiej wsi nie „Zbrojówka” pochodzą pracujące na naszych polach „ZETORY” i potężne dźwigi, zainstalowane w Szczecinie i Świnoujściu.

A oto dawny Zlin — dziś Gottwaldowo, sławny z dawnych — o światowym zasięgu — zakładów Bały. W r. 1894 Tomasz Bała, genialny spekulanci i kombinator, założył w Zlinie pierwszy warsztat produkujący drechowe półbuty. W owym prymitywnym warsztacie pracuje początkowo tylko trzech robotników — po 20 latach zakłady Bały produkują 10.000 par obuwia dziennie, zagrażając, a następnie likwidując 50.000 drobnych warsztatów szewskich w Czechosłowacji. Powstaje całe miasto robotnicze — w którym absolutnym władcą jest Bała. Sieć najwysuniętszych przepisów omytuje precyzyjnie życie miasta, z roku na rok wzrasta wyszys robotników, który umożliwili Bałce walczyć przez długie lata z konkurencją kraju najtańszego robotnika — Japonia!

Dziś Zlin zmienił nie tylko nazwę — na Gottwaldowo — ale i cały swój charakter. W ciągu kilku lat odbudowano zbombardowane zakłady. Dziś jest jasne — głosi broszura, wydana przez kierownictwo upadłych zakładów — że nie potrzeba gangsterskich sposobów, aby wyrastały giganty przemysłowe. Wynik? W roku 1949 produkcja butów w Gottwaldowie przekroczyła milion par tygodniowo — cyfra, o której nigdy nie mógł marzyć fundator rodu Bał — senior Tomasz.

Ale nie tylko informacje o potężnej rozbudowie przemysłu, o wielkich postępach przebudowy rolnictwa w Czechosłowacji przynosi nam niezwykle ciekawa książka Piwowarczyka. Rzetelna informacja i statystyka wspiera obraz nowego człowieka, w rastaającego w walce o nowe, lepsze, pełniejsze życie.

F. J.

Klucz nie tylko wiolinowy

Młodzieżka to szkoła, bo powstała zaledwie przed trzema miesiącami. Słuchacz jej to i 5-letnie dzieci, i przeszło 50-letni mężczyźni. Symbolem szkoły jest klucz wiolinowy.

Mówimy szkoła, a mamy na myśli Społeczne Ognisko Muzyczne Komitetu Rodzicielskiego przy Państwowej Szkole Muzycznej w Poznaniu. Ciekawe jest zadanie tego Ogniska, które kształci amatorów muzyki, które słuchaczów uczy poznawać jej piękno oraz pogłębia i rozszerza ich kulturę muzyczną.

*

— Trzeba podziwiać zapał naszych 200 prawie „wychowanków” — mówi nam dyrektor Państwowej Szkoły Muzycznej w Poznaniu, prof. Ludwik Kwaśnik. — Można zacząć rękę na widok pilności i ochoty, z jaką przystępują do nauki. Kiedy przed trzema miesiącami począłem organizować Społeczne Ognisko Muzyczne, nie przypuszczałem, że tylu wielbicieli muzyki weźmie udział w 4-letnim kursie, opartym na zasadach uczelnianej dyscypliny. Nasze Ognisko uczy gry na fortepianie, instrumentach strychkowych, dętych, akordeonów, uczy dalej gry na mandolinie, gitarze, wreszcie śpiewu solowego, nie pomijając oczywiście teorii chóru i zespołów muzycznych. Rzecz prosta, że nauka o Konstytucji PRL znalazła się jako przedmiot obowiązkowy w dziale V Ogniska, tj. dla uczniów powyżej lat 18.

Słucham tego wszystkiego z coraz większym zainteresowaniem. Oczyma wyobraźni widzę schodzących się zapaleńców, ludzi dojrzałych, co to już z niejednego pieca chleb jedli. Widzę ich z instrumentami i nutami, schodzących się wieczorami po pracy zawodowej do klas na naukę. Widzę pięć — czy siedmioletnie dzieci przyprowadzane rano do przedszkola Ogniska, chłopców i dziewcząt 10- czy 14-letnie, raźnie ćwiczących w klasach średnich.

Ale widzę też ich pracę w przyszłości, po ukończeniu kursu. Przecież ich oddziaływanie na towarzyszy pracy w fabryce czy biurze stanie się niewątpliwie ważkim przyczynkiem do rozkrzewiania kultury muzycznej, do podniesienia poziomu życia społecznego.

*

Klucz nie tylko wiolinowy: to klucz do wielkich odrzwy kultury narodowej, klucz do szkatuły pełnej talentów. Tak jest, bowiem — jak mówią mi wykładowcy z Ogniska — Albina Klincewicz, Witális Dorożala i Janina Wojewódzka — już zdolano odkryć bardzo utalentowanych słuchaczów, dla których otworem stoi nauka w Państwowej

Szkole Muzycznej. Tym więcej szata więc radość tych ludzi, którym powierzono tytuł amatorów muzyki. Dwa miesiące istnienia Ogniska to niewiele, ale wiele za to pracy nad jego pełnym ukształtowaniem. Praca administracyjną, którą kieruje Zofia Tułasiewicz, mozołne wysiłki pedagogów z teorii muzyki — Janiny Tomaszówny czy Władysława Bartasza, nauka śpiewu, którą prowadzi Jan Korman — praca tych ludzi w oparciu o pełny inicjatyw i energii działaczy kulturalnych, jak Michał Kania z Komitetu Rodzicielskiego i przede wszystkim pomoc w osobie okręgowego wizytatora mgr. Edgara Tłuchowskiego z Wydziału Kultury przy Prezydium WRN — wyda na pewno owoce.

— Społeczne Ognisko Muzyczne — mówi on — to w tej chwili jeszcze... niemożliwe. Wierzę, że wyróżnie z niego dojrzały, kulturalny, umysłowy człowiek, który w naszej Ojczyźnie będzie ślewcą szlachetnych tonów pieśni i muzyki. (t. h. n.)

Sztuką filmową interesują się wszyscy

Czas pomyśleć o klubach filmowych

W Poznaniu i całym województwie wielkopolskim mamy 57 kin szerokoekranowych miejsc, 147 wąskoeekranowych miejsc oraz 15 kin ruchomych, w których razem w roku 1953 było 10.486.960 widzów. Cyfry mówią więc, że kina to rzecz niezmiernie powszechna i masowa. O rosnącym ciągle zainteresowaniu filmem świadczy również żywe dysputy, toczące na gorąco po wyjściu z kina. Te dysputy i „pantoflowe opinie”, rozchodzące się lotem błyskawicy, świadczą, że nie każdy jeszcze film, obiegający nasze ekrany, rozumiany jest właściwie przez wszystkich widzów, wśród których są przecież ludzie o różnorodnym poziomie politycznym i artystycznym wyrobieniu. Zdarza się niekiedy, że treść filmu interpretowana jest inaczej, niż to leżało w intencji jego twórców.

Wioski film realistyczny „Droga nadziei” wywołał np. błędne komentarze, że mówi on, jakoby robotnicy wloscy, emigrując do Francji, znajdowali tam pracę i perspektywę lepszego zarobku. Rzeczywiście — zakończenie filmu dla niedoświadczonych przygotowanego politycznie widza i nieznającego warunków życia robotnika tak we Francji, jak i we Włoszech — nie jest w pełni jasne. To tylko jeden przykład; można by ich mnożyć wiele.

Wydaje się więc pilną koniecznością zakładanie tzw. klubów filmowych. Istniejące przy większych zakładach pracy i szkołach jako sekcje świetlicowe, kluby filmowe — pod kierownictwem ludzi znających się na filmie, a takich nie brak przecież w Poznaniu — mogłyby spełniać ważne zadania dwójako:

Po pierwsze, poprzez wieczorki dyskusyjne, wyjaśniałyby, co w wyświetlanym filmie jest najważniejsze i jak film ten należy

rozumieć, a tym samym przenosiłyby jego wartości wychowawcze na krąg widzów, którzy — jak sami mówią — „nie wyznają się zbytnio na sztuce filmowej”. Po wtóre dyskusje te przyczyniłyby się do dalszego awansu kulturalnego zainteresowanych filmem ludzi, zapoznających ich z twórcami sztuki filmowej.

Coraz więcej widzów nie patrzy już na film wyłącznie jako na rozrywkę, która „ma oderwać myśli od szarżarny dnia codziennego”. Widz zaczyna interesować się filmem, jako sztuką, jego warsztatem twórczym, technicznym, jego twórcami — scenarzystą, reżyserem, operatorem, aktorem. Wielu interesuje się historią, krytyką, zagadnieniami teoretycznymi filmu. Tematów do omawiania nie zabraknie na pewno.

Oczywiście, dyskusje powinny być poprzedzane zbiorowym uczestnictwem w seansach, które przy większej liczebności członków można by organizować specjalnie dla zespołów klubowych. Zapraszani z Warszawy i Łodzi filmowcy, autorzy scenariuszów, aktorzy — mogliby także rozwinąć horyzonty miłośników kina.

Właściwe ustawienie pracy klubów podniosłoby także poziom moralny widzów — byłaby to skuteczna walka z kinowymi chuliganami, grasującymi przed salami kinoteatrów i wewnątrz nich. Praca klubów skierowana by temperament młodzieży na właściwe tory. Tam — dyskutując nad filmem, ucząc się — awansowałaby, jak już powiedzieliśmy — kulturalnie. Spodziewamy się, że instytucje, kierujące życiem kulturalno-oświatowym w zakładach pracy i szkołach, a zwłaszcza ORZZ i ZMP, powinny się zainteresować szerszym problemem popularyzacji sztuki filmowej, której wagę tak podnosił I. Lenin.

I. E.

Mała wyspa w chciwych łapskach miliardów



Niedawno na sali obrad Izby Reprezentantów (sejm amerykański) huknęły strzały rewolwerowe. Kilku kongresmanów odniosło rany. Wśród wrzawy, spowodowanej paniką, zabrzmiał donośny głos kobiety: „Dajcie wolność Puerto Rico!”

Czy była to tylko przygoda, zainspirowana w stylu amerykańskim przez kilku awanturników? Rzecz prosta, nie można pochłaniać aktów zamachu, które są objawem zwaśnienia przez partie komunistyczne tzw. „terroru indywidualnego”. Władzą jednak, że takie akty terroru wykonują tylko ludzie zdesperowani, doprowadzeni do rozpacz, nie widzący innego wyjścia, poza strzałami do swoich ciemiężców. Nie pochwała my ich metod — możemy jednak głęboko współczuć ich sprawie. Tak jest właśnie ze sprawą małej wyspy na Morzu Karaibskim, noszącej piękną nazwę Puerto Rico, co znaczy po polsku „bogaty port”.

Niegdyś bogata

Rzeczywiście — kiedyś wyspa, licząca zaledwie 8.785 km², dała doskonałe wyżywienie i utrzymywała liczną ludność (dziś 2.200.000). Uprawiano przede wszystkim trzcinę cukrową i produkowano cukier, plantowano tytoń, owoce południowe, bawełnę i wytworzone z niej tekstylia. W roku 1898, po wygranej przez USA wojnie z Hiszpanią, wyspa, jako kolonia, dostała się pod władzę Amerykanów. I odtąd zaczął się dramat gospodarczy. Wystarczy przytoczyć szczegóły procesu „kolonizacji” w ostatniej fazie, a więc w czasach współczesnych. W dramacie gospodarczym trzeba szukać źródła strażów nacjonalistów portorykańskich w Izbie Reprezentantów.

Tylko 15 proc. trzcinę cukrową jest rafinowana na miejscu. Ogromną większość produkcji wywożą koncerny cukrowe grupy Morgana i Rockefellera do USA. Naród wycieńszony traci w ten sposób 39 milionów dolarów rocznie. Opanowując całkowicie eksport i import towarów do Puerto Rico, Amerykańscy miliarderzy wysysają ponad 60 proc. ogólnego dochodu narodowego wyspy. Dodatkowo zyski czerpią amerykańscy kapitaliści z różnic między płacą robotników w USA i Puerto Rico. Np. fachowy stolarz zarabia w USA 1,23 dolara — a na wyspie, stanowiącej część składową Stanów Zjednoczonych — tylko 39 centów za godzinę; majster murarski zarabia w USA — 1,93 dolara, a Portorykańczyk zaledwie 48 centów. Najgorzej są płatni robotnicy przemysłu tytoniowego, którzy otrzymują 29 centów za godzinę. Trzeba tu dodać, że ceny na wyspie są wyższe o 25 proc. niż w USA. Przemysł, którego rozwój monopolizacji amerykańskiej systematycznie hamuje, nie jest w stanie zatrudnić wszystkich obywateli.

18 procent bezrobotnych

Jak podają urzędowe źródła, 300.000 rodzin posiada dochód roczny 341 dolarów (gdy tyle wynosił tzw. „minimum miesiecznie” w USA). Jak podaje paragwajską gazetę „El Debate” — 400.000 osób pozbawionych jest pracy. Pracujących dorywczo, po kilka dni w tygodniu, jest blisko 150.000. 64 proc. ludności nie posiada umiejętności czytania i pisania. 350.000 dzieci w wieku szkolnym nie może pobrać nauki z braku szkół i nauczycieli. Czasopismo portorykańskie „El Mundo” dowodzi, że 51,3 proc. mieszkańców nie jest młodszy niż 14 lat. Nie może więc dźwigić ciężaru 120.000 chorych na gruźlicę (6 proc. ludności), pozbawionych jakichkolwiek możliwości leczenia.

Zbrojny protest

Wielokrotnie Portorykańczycy podnosili brzoń do walki o wolność, by wyrwać się z chciwych łapsk miliardów. Ostatnia próba był zbrojny protest przeciw przymusowemu werbowaniu na wojnę w Korei. Było to w listopadzie 1951 roku. Całe społeczeństwo jednomyślnie wystąpiło przeciw swym ciemiężcom. Rozruchy rewolucyjne zostały zduszone wojskiem amerykańskim, które w ciężkiej walce zabili 70 uzbrojonych patriotów Portorykańskich. Przybycie z USA posiłki zdusiły otwarte powstanie.

Tak więc nie trudno zrozumieć, dlaczego huknęły strzały w Waszyngtonie. Jak donoszą ostatnie wiadomości, władze rządowe USA postanowiły oddzie-

lić galerię widzów w Izbie Reprezentantów „pancernym szkłem”, przez które nie przechodzą kule — dla bezpieczeństwa kongresmanów. Sprawy wolności Puerto Rico, oczywiście nie rozpatrywano.

Wspomnienie o Leonie Schillerze

(Dokończenie ze str. 1)

wszystkich swoich najlepszych dziełach. Pamiętamy: „Opera za trzy grosze”, „Cjankali”, „Krzyżce Chiny” — to były nie tylko świetne przedstawienia, ale i rewolucyjne czyny polityczne, które narażały na represje władz sanacyjnych i chamskie wybryki endeckiej kotturerii.

Muzykalność Schillera pozwoliła mu też reżyserować opery, których był od dawna entuzjastycznym obrońcą. Jego dwukrotna — a właściwie wliczwszy poza poznańską i warszawską także berlińską — trzykrotna inscenizacja „Haliki” dokonana po wojnie odkryła zupełnie nowe, nieznane przedtem i świadomie zamazywane strony dzieła Mołuszkii.

Wspomnienia snują się bez końca... Wśród nich powraca uporczywie jeszcze jedno: Schiller — nieprawdopodobny wprost erudyta we wszystkich dziedzinach zahaczających o teatr. Łączył w tym niezwykłą wiedzę historyczną z bogactwem doświadczeń osobistych. Każdy jego odczyt zamieniał się w gawędę, której się słuchało z napięciem. Mówił cicho, jakby do siebie tylko, ustawicznie zbaczając na dygresje, które przysilały nieraz swym znaczeniem główną część prelekcji, ale żadne słowo nie wyślizgało się z jego ust. Swym zamiłowaniem historycznym dawał upust w sekcji teatralnej Państwowego Instytutu Sztuki, którą kierował. Redagował kwartalnik „Pamiętnik teatralny”. Tu umieszczał też swoje prace — ostatnie o teatrze w NRD (przy okazji — jest to też cała monografia niemieckiego teatru przedwojennego) oraz o krakowskich rocznikach teatralnych m. in. o Ludwiku Solskim. Zawsze

W sprawie starego miasta

Inż. - arch. Zygmunt Skrzydlewski

nieszczęlna stolarka, ciekące grzejniki itp. sprawy, które przysięgnięte w pierwszej chwili radością z powodu uzyskania mieszkania, stają się z czasem prawdziwą udręką i przyczyną uzasadnionej irytacji.

Kilka słów o architekturze

Wydawać by się mogło, że wykazanie tych braków i cieni wyczerpuje zagadnienie budownictwa. Zapomina się jednak, że budownictwo to nie tylko wykończony budynek, ale także architektura i urbanistyka. A niestety te tak ważne dla ukształtowania wyglądu miasta sprawy są właściwie przez poznańską prasę zupełnie nie poruszane, bowiem ukazujące się, bardzo rzadko zresztą, na ten temat artykuły, są zbyt powierzchowne i posiadają przeważnie niebezpieczny ton samouielbienia (do nielicznych wyjątków należał artykuł prof. K. Ulatowskiego, omawiający po krótko PDT — ogródek i Bibliotekę Uniwersytecką).

Nie przypuszczam, aby wynikało to z braku zainteresowania się obecnym i przyszłym wyglądem Poznania. Odnoszę jednak wrażenie, że przyczyną tego jest raczej niezadawanie sobie w pełni sprawy jak ważną dziedziną sztuki jest architektura, której odbiorcą jest, chcąc nie chcąc, całe społeczeństwo.

Można bowiem zrezygnować z czytania nieudolnie napisanej powieści, lub schować za szafę kiepski obraz i w ten sposób uchronić się od odbierania wrażeń estetycznych wątpliwiej wartości. Natomiast nie można postawić parawan przed źle zaprojektowanym budynkiem, ani przechodzić z zamkniętymi oczami w tak ruchliwym miejscu, jakim jest na przykład skrzyżowanie ulic Alfreda Lampego i 27 Grudnia. Z tej to właśnie konieczności stałego oglądania architektury wynika szczególne jej znaczenie i większa niż w innych dziedzinach sztuki — rola w kształtowaniu zmysłu estetycznego olbrzymiej ilości odbiorców.

W sprawie „Czerwonej Apteki”

Z dużym zatem zadowoleniem należy powitać artykuł T. Pasikowskiego — „Serce Poznania” („Głos Wielkopolski” nr 45 z dnia 21/22. II. 1954 r.), w którym autor podejmuje próbę przeprowadzenia rzeczowej krytyki zagadnień architektonicznych Starego Miasta, tak szczególnie drogiego, jak szalenie podkreśla, każdemu mieszkańcowi Poznania. Zadowolenia tego nie zmniejsza nawet, zawarta w tym artykule a wynikająca z troski autora o przyszłość „Starego Miasta”, tak wielka ilość gorzkich słów, których zapewne byłoby znacznie mniej, gdyby temat ten, jak już wspominałem, częściej wypełniał szpalty miejscowej prasy.

Niektóre jednak zarzuty mogą wyrobić w niezorientowanym czytelniku przekonanie, że projektanci poszczególnych obiektów na Starym Mieście, albo nie potrafili poradzić sobie z takimi tematami, albo lekceważą odbudowę zabytków. Wobec tego sprawę kamieniczek na Starym Rynku, które nie są wprawdzie pozbawione miejscami usterek, należy pokrótce wyjaśnić.

Jeśli chodzi o Czerwoną Aptekę, ani taras, którego założenie było konieczne, a który nie znajduje się od ul. Wielkiej tylko od strony podwórza i ma dobre południowe nasłonecznienie, — ani nieco spłaszczone sklepienie podcienia nie są mankamentami tak istotnymi, aby miały zaważyć na ogólnej ocenie budynku.

Niesłuszny jest również zarzut, jakoby kamieniczka nr 58 została wykonana niezgodnie z projektem. Wręcz przeciwnie, jest ona zrekonstruowana według przekazów (zainteresowanych odsyłam do książki T. Ruszczyńskiego i A. Sławińskiej „Poznań”, str. 92) i stanowi korzystne urozmaicenie, dość

„grzeczne”, na tej stronie rynku, gabarytu.

Niewątpliwym zato błędem jest nieobniżenie gabarytu kamieniczek 80—82, co można było osiągnąć tylko przez usunięcie istniejących stropów po uprzednim naturalnie przeniesieniu dotychczasowych lokatorów do mieszkań zastępczych, a czego niestety nie przeprowadzono.

Investorzy i „detale”

Słusznie również zwraca się uwagę na brak detalu w postaci kamiennych portali, kutych krat, latarni itp. szczegółów, które w pożądanym sposób zmiekkczyłyby obecną sztywność odbudowywanych domów. Inwestorzy nie posiadają jednak kredytów na tego rodzaju prace wykonawcze i w większości wypadków nie przykładają do tego żadnej wagi. Pomimo, że prawie każda dokumentacja na staromiejskie kamienice, wykonywana w Miastoprojektie, obejmuje pełen komplet opracowań szczegółów, nie ma nikogo, kto by starał się o ich zrealizowanie przede wszystkim drogą uzyskania odpowiednich kredytów.

Chwilowy brak tego detalu nie upoważnia jednak do postawienia zarzutu, że „skandaliczne są niemal wszystkie kondygnacje parterowe, nie mające nic wspólnego ze stylem odremontowanych kamienic...”. Tak ostre bowiem określenie byłoby całkowicie słuszne w odniesieniu do przedwojennego stanu staromiejskich domów, gdy były one upstrzone sztywnymi i reklamami konkurującymi z sobą kucpów i gdy wszelkie przebudowy były robione tylko pod kątem przystosowania tych budynków do wymagań handlowych użytkownika.

Tak bezwzględne jednak oszczercowanie Starego Rynku, nie poparte zresztą konkretnymi argumentami, jest, jak się to mówi, przegięciem pałki. Można by się nawet obawiać, że tego rodzaju nieprzemyślane zarzuty zasłaniające szereg osiągnięć, jakimi, mimo wszystko, można się na Starym Mieście pochwalić, — mogą szkodzić odwrócić uwagę od istotnych bolączek związanych z odbudową tej dzielnicy.

... a gospodarza jednak nie ma

Istotne bowiem trudności dotyczą spraw organizacyjnych. Całkowitą więc słuszność należy przypisać Tadeuszowi Pasikowskiemu, gdy mówi, że „trudno dziś zorientować się, kto jest odpowiedzialny za całokształt prac na Starym Mieście”. Nie należy jednak sądzić, że Poznań, a w tym wypadku Stare Miasto, pozbawione jest gospodarza, jeśli chodzi o zagadnienia budowlane. Gospodarzem takim jest Prezydium MRN, a ściślej mówiąc — Wydział Budownictwa tego Prezydium.

Główną troską kierownika Wydziału Budownictwa, inż. E. Tyca, jeśli chodzi o sprawy staromiejskie, jest wynajdowanie inwestorów dla Starego Rynku. Doceniam w pełni te zabiegi, które poza kredytami uzyskanymi przez Wojewódzkiego Konserwatora zabytków, umożliwiają sfinansowanie odbudowy Poznańskiej Starówki. Nasuwa się tylko pytanie, dlaczego całego Starego Rynku, z wyjątkiem naturalnie wewnętrznej zabudowy handlowej oraz budynków użyteczności publicznej, jak Ratusz, Waga itp. nie przejął DBOR dla budownictwa mieszkaniowego, a w rezultacie Stary Rynek zajęły rozmaite instytucje, lokujące tam urzędy?

Trzeba zatem wyrazić obawę, czy starania Wydziału Budownictwa PMRN idą we właściwym kierunku i czy rezultaty tych wysiłków dają żądane efekty.

Ostatnio na przykład, aby narecznie ruszyć z odbudową pałacu Mielżyńskich, wciśnięto go, jak twierdzi inż. Tyca, Zjednoczeniu Instalacji Sanitarnych na biura. Pytanie czy nie pociągnie to za sobą konieczności ulokowania tam jeszcze innego urzędu, ponieważ Zjednoczenie to prawdopodobnie nie wykorzysta całego budynku z braku potrzeb i kredytu. Skoro

już udało się podobno inż. Tycowi namówić DBOR do odbudowania dwóch sąsiednich kamieniczek, to czy nie należałoby jeszcze przekonać tego inwestora o urzędzeniu w Pałacu Mielżyńskich — Dzielnicowego Domu Kultury? Na pewno reprezentacyjne sale tego cennego zabytku (dokumentacja jest już opracowana przez PKZ) bardziej nadają się na ten cel, niż na pomieszczenia biurowe, tym bardziej, że dzielnice Poznania odczuwają brak takich ośrodków kulturalnych. Jest to pomysł nie nowy, lecz chyba wart zachodu.

Analogiczna sprawa jest choćby umieszczenia piwnic ratuszowych. Domaganie się urzędzenia w piwnicach, historycznie uzasadnionej winiarni, jest słuszne. Nie spotkałem jeszcze nikogo, kto by miał odrębne zdanie. Jest to zdrowa chęć włączenia zabytku do codziennego współczesnego życia.

Nie tylko jednak należy wrócić Ratuszowi jego winiarnię. Należy również zrekonstruować zabytkowy zegar z kółkami, które stanowiły zawsze, podobnie jak w Krakowie hejnał mariacki, dużą atrakcję zarówno dla mieszkańców Poznania, jak i przyjeźdźców. Tymczasem słyszy się, że na ten cel nie ma kredytów.

Nasuwa się więc wniosek, że Wydział Budownictwa PMRN nie potrafił przez osiem lat objąć pod względem organizacyjnym całości zagadnień staromiejskich i nie chce przyjąć na siebie pełnej odpowiedzialności. Odbudowa tej dzielnicy w dalszym ciągu nie ma swego „generała”.

Projekt SARP-u

Wobec takiego stanu rzeczy sprawa powołania specjalnej komisji, czego domagał się „Głos”, jest kwestią niezmiernie palącą. Nie wydaje się jednak słuszną, aby w jej skład wchodziła przedstawicielstwo inwestorów. Komisja ta, jako społeczno-polityczny czynnik opiniujący i kontrolny, powinna mieć natomiast swój organ wykonawczy, który spełniałby funkcję generalnego koordynatora odpowiedzialnego za urbanistyczno-architektoniczną całość Starego Miasta.

Taki też wniosek, powołania 3-osobowego kierownictwa, postawił w imieniu poznańskiego Oddziału SARP prezes Zarządu prof. Władysław Czarnecki w dniu 1 lutego br. podczas obrad dotyczących odbudowy Starego Miasta w Poznaniu w obecności przedstawicieli Komitetu ds. Spraw Urbanistyki i Architektury, najwyższego autorytetu w tych sprawach. Dowodem zainteresowania SARP sprawami Starego Miasta, były niejednokrotnie urządzone odczyty i dyskusje, poświęcane szerokiemu omówieniu wszystkich spraw, które poruszano następnie w „Głosie”.

Jak więc z tego widać, SARP, który zdaje sobie doskonale sprawę, że jest to w tej sytuacji jedyna droga do skoordynowania prac przy odbudowie Starego Miasta, oraz najszybszego i najlepszego ukończenia tej odbudowy, wtrącił do sprawy Starego Miasta, mam wrażenie w sposób dość rzeczowy, trochę więcej niż owe przysłówowe „swoje trzy grosze”.

Największe znaczenie miała wyżej wspomniana narada z przedstawicielami komitetu. Obecny podczas tych obrad kierownik Wydziału Budownictwa inż. Tyca, popierając postawiony przez SARP wniosek, przyrzekł przedstawić sprawę Prezydium Miejskiej Rady Narodowej.

Jasnym jest bowiem, że jeżeli, proponowany przez SARP trybunwirat ma w skutecznym sposób objąć kierownictwo odbudowy Starego Miasta, to działalność jego powinna być uprawomocniona uchwałą PMRN.

Wobec tego należałoby się za pytać, dlaczego do tej pory nie w tej sprawie nie zrobiono? Dlaczego PMRN nie skorzystało dotąd z wyciągniętej ręki ze strony SARP-u? Czy mamy czekać jeszcze tak długo, aż inne miasta — nie tylko Warszawa i Opole — wyprzedzą nas w odbudowie swych dzielnic staromiejskich?

Mamy jednak nadzieję, że sprawa ta zostanie wkrótce pozytywnie załatwiona, a społeczeństwo Poznania o tym poinformowane, jak słusznie tego domaga się autor artykułu „Serce Poznania”.

Wśród wielu zagadnień, jakie porusza codziennie prasa poznańska, mają również swoje miejsce sprawy związane z budownictwem, które w okresie, gdy prawie cała Polska stanowi jeden olbrzymi plac budowy, należą do najważniejszych dziedzin naszego życia. Czytamy więc często o robotnikach, którzy przekraczają wysoko normy przy wznoszeniu nowych domów, o cennych pomysłach usprawniających ich pracę, o wzmożonym wysiłku kierownictwa technicznego itd. Lecz spotykamy także artykuły alarmujące o występujących jeszcze niedociągnięciach i brakorobstwie budowlanym, jak źle zainstalowane rury wodociągowe,

imponowały one bogactwem i trafnością uwag. Jego strata w tej dziedzinie będzie nie do zastąpienia.

W obliczu śmierci Leona Schillera wspominać wielkość jego osiągnięć, jego znaczenie dla teatru polskiego, dla kultury narodowej. Zapisał się w niej chlubnie i trwale.

AUGUST GRODZICKI

Ciekawa broszura o historii chłopów polskich

Brak jest dotychczas regularnych wydawnictw, które popularizowałyby zagadnienia historii — a szczególnie walk klasowych na wsi polskiej. Każde więc nowe wydawnictwo, które można oddać w ręce nawet zupełnie nieprzygotowanego do naukowej lektury czytelnika — należy powitać ze szczególną uwagą. Szkic historyczny O. S. Popiołka*) omawiający walkę chłopów Górnego Śląska do 1811 r. spełnia wszystkie warunki pracy prawdziwie popularnej i naukowej: jest pisany jędrnym, a ciekawym językiem; nie jest przeładowany terminami naukowymi, a chętnie sięga do ciekawej anegdoty, rozszerzającej horyzont myślowy czytelnika. W wydanej niedawno broszurze widać staranną pracę redakcyjną, tak by ów szkic historyczny mógł trafić do rąk chłopiejskiego czytelnika.

*) Oswald Stefan Popiołek — „Bunt chłopów na Górnym Śląsku” do roku 1811 — nakładem Ludowej Spółdzielni Wydawniczej 1954 r. — str. 88 (z ilustracjami) — cena 1,90 zł.

ratura spalanych gazów wynosi około 850 st. C., a wirnik turbiny obraca się 14.000 razy na minutę. Smigła są przestawialne. Przy lądowaniu służą do hamowania rozprędu samolotu. Lot od bywa się na wysokości ok. 4000 m. Cztery silniki pędzą samolot, mogący pomieścić 49 pasażerów. Praca silników wydaje dźwięk trochę głośniejszy buczącego wentylatora elektrycznego. Silniki pracują zupełnie bez wstrząsów.

BRĄK SŁODKIEJ WODY do picia i dla potrzeb rolnictwa zagrożenia Holandii, narażonej na ustawiczne „zasalanie” swych wód przez morze. Opadanie łańd i podnoszenie się poziomu morza wywołuje coraz wyższy procent soli w wodach słodkich. Przypływ morza wpędza do ujść wielkich rzek masy wody morskiej, tak że łożyska rzek stają się na dnie coraz grubszą powłoką soli, która posuwa się stale w głąb łańd z szybkością przez szło 200 m na rok.

ODKRYCIE ZASYPANEJ PI-RAMIDY. Ekspedycja egipskich archeologów odkryła na Saharze jeszcze jedną piramidę, zasypaną przez piasek pustyni. Jest to prawdopodobnie grobowiec faraona Sanakhta, jednego z potomków Tut Eneha Amona. Wstęp do właściwego korytarza — prowadzącego w głąb grobowca, bronią na razie masy piasku i gruzu, co będzie wymagać pracy wielu tygodni. Dotąd nie odkryto śladów, iż piramida była już kiedyś otwarta. Jednak dotychczasowa praktyka pona, że groby z wczesnego okresu egipskiej historii z reguły były niegdyś robione i obrabowane z ceną zawartości.

Wyjechałam służbowo. Będę za tydzień.

Julia Seweryna

TU i TAM

700 m² WODY CO SEKUNDE przepływać będzie przez olbrzymi turbogenerator, produkowany przez zakłady „Elektrosila” im. Kierowa w Leningradzie. Woda, przepływająca turbiną w ciągu godziny może utworzyć jezioro o 1 km² powierzchni i 2,5 m głębokości. Maszyna będzie ważyła 1.600 ton. Generator wraz z turbiną osiągnie wysokość osiemnastu (lub nawet dziesięciu) pięter. Każda z takich jednostek (a będzie ich na zapórze kubańszewskiej dwadzieścia) będzie posiadała 117.000 KW, a więc 100.000 koni mechanicznych. Maszyny będą transportowane częściami.

HANDEL NARKOTYKAMI WE WŁOSZECH. Jak już pisaliśmy — Włochy są obecnie widownią skandalicznego procesu o zabójstwo młodej dziewczyny w stanie zamroczenia narkotykami. Wafere są wmięszane najwyżej osobistości rządowe. Z tej okazji prasa włoska publikuje dane statystyczne potajemnego handlu narkotykami we Włoszech. Straż skarbową w roku 1952—1953 skonfiskowała 47 kg haszyszku, 10 kg heroiny i pokazała ilość innych narkotyków — jak: morfina, kokaina i opium. Ponadto stwierdzono, że przez ręce handlarzy przeszło 500 kg środków odurzających. Na Syberii odkryto plantacje roślin, z których wytwarza się narkotyki.

SAMOLET TURBINOWY francuskich linii komunikacyjnych przebywa przestrzecz Paryż — Wiedeń w ciągu czterech godzin i trzydziestu minut. Silniki turbinowe, prostsze i pewniejsze w ruchu, niż tłokowe, są też od nich lżejsze o 40 proc. Tempe-



— Panie Auguste! Czy to
prawda, że bierze pan udział
w akcji siewnej?
— Oczywiście. Sieję plotki.

Mister Homer i signor Goldoni

Mediolański „Mały Teatr” wystawił znaną komedię Goldoniego „Sługa dwóch panów”. W związku z tym, jak poinformowało czasopismo włoskie „Messaggero”, naczelny redaktor pewnego wielkiego czasopisma amerykańskiego zwrócił się do swego korespondenta w Mediolanie z zapytaniem, kto to jest ów signor Goldoni, do jakiej partii należy i czy sztuka „Sługa dwóch panów” nie ma na myśli owych kół politycznych we Włoszech, które prowadzą podwójną grę polityczną. Prawie w tym samym czasie zdarzyło się, że pewna wo-

ska firma filmowa zwróciła się do znanego artysty filmowego w Hollywood, aby zagrał w filmie „Odyseusz” według przeróbki z Homera. Artysta ów nie odmówił, ale prosił o wyjaśnienie kim jest ów mister Homer i jakie książki prócz „Odyseusza” napisał. Pismo „Messaggero” nie podaje tytułu amerykańskiego czasopisma, ani nie wymienia nazwiska aktora. Łatwo jednak domyśleć się, że pismem jest głośny tygodnik „Life”, a aktorem jedna z gwiazd hollywoodzkich.

chodzenia Grek — nigdy nie był rewolucyjnym emigrantem, a jedynie starym Grekiem. Przed „Odyseą” wydał książkę „Illiada”. Temat ten jest doskonały dla filmu. Chodzi tam o porwanie pięknej niewiasty i świetny kawał, który się nazywa „Koł Trojański”. Natomiast w sprawie signora Goldoniego najlepiej będzie dać taką odpowiedź: „Tak, sir, istotnie interesowałem się osobą Carlo Goldoniego, ale nie spotkałem się z nim ani w Europie, ani w Ameryce, gdzie, o ile mi wiadomo, nigdy nie był. W wyborach włoskich 1953 roku nie brał udziału, gdyż zmarł w 1793 roku. Z tego też powodu nie mógł być członkiem partii komunistycznej ani jej sympatykiem. Muszę jednak szczerze dodać, że Goldoni bezlitośnie piętnował świętoszków, oszustów i obłudników, którzy grają podwójną grę. Nie wiedziałem o tym i przyznaję się do mej wielkiej ignorancji. Zapewniam komisię, że to się nigdy nie powtórzy.”

Z takimi odpowiedziami można zaryzykować stawienie się przed komisją. (h)

Głos w dyskusji

Paweł Rewicz

Fragment sprawozdania z zebrania Rady Zakładowej:
„Po referacie przystąpiono do dyskusji. Między innymi zabrał głos obywatel Gadaliński Stanisław. Na wstępie stwierdził on, że chciałby pokrótce omówić sytuację polityczną w Pendżbie i Kongo belgijskim, co uczyniwszy po stawili szereg dezyderatów w sprawie podniesienia rentowności zakładowego bufetu.”

kusja. Jako pierwszy przemówił ob. Gadaliński, który dokonał oceny sytuacji ekonomicznej na Bliskim Wschodzie. Następnie przechodząc do omówienia sytuacji politycznej w Grecji, mówca nawiązał do Tukidydesa i opowiedział zebranym o wojnie peloponeskiej.”

Fragment sprawozdania z narady roboczej:
„Po ogłoszonym referacie nastąpiła ożywiona dyskusja. Jako pierwszy przemówił ob. Gadaliński, który dokonał oceny sytuacji ekonomicznej na Bliskim Wschodzie. Następnie przechodząc do omówienia sytuacji politycznej w Grecji, mówca nawiązał do Tukidydesa i opowiedział zebranym o wojnie peloponeskiej.”

Fragment sprawozdania z posiedzenia komisji bytowo-mieszkaniowej:

„Następnie poprosił o głos ob. St. Gadaliński. — Nieposób — mówił ob. Gadaliński — przejdź do porządku dnia nad sprawą, która bez wątpienia ma swój poważny ciężar gatunkowy. Chcę mówić o porwaniu sułtana Maroka przez władze francuskie, ale przedtem, aby z tym większą wyrazistością za rysować wypadki doby obecnej na Czarnym Ładzie, kilka słów o powstaniu Mahdiego.” — W związku z uwagą przewodniczącego, aby ob. Gadaliński nie rozpraszaj się i możliwie zwięźle konkretyzował swoje wywody — ob. Gadaliński zgłosił dwa wnioski w sprawie podniesienia rentowności zakładowego bufetu.”

Fragment sprawozdania z konferencji sekcji socjalno-ubezpieczeniowej:

„W dyskusji nad działalnością sekcji zabrał również głos Gadaliński Stanisław. Stwierdził on, że w sposób nad wyraz interesujący kształtują się wypadki na Tajwanie. Potem scharakteryzował sylwetkę Ciang Kai-szeka i przypomniał, że w roku 1927 niejaki Sung pośredniczył między Ciang Kai-szkiem oraz cudzoziemskimi finansistami. Omówiwszy działalność oligarchii finansowej w Chinach tego okresu ob. Gadaliński zaapelował do obecnych, aby płacili regularnie składki jako członkowie kółka wędkarskiego. Na zakończenie zgłosił wniosek w sprawie podniesienia rentowności bufetu. Wniosek nie został jednak przyjęty, bo bufet w międzyczasie zlikwidowano.”

Fragment sprawozdania kierownika oddziału:

„...a na szczególne wyróżnienie zasługuje ob. Stanisław Gadaliński, który wszystkie nasze zebrania, narady, konferencje i posiedzenia nasycił polityczną treścią.”

Kraśnik kielbasy
Bączek pracował w jednym biurze z Barczem, którego szczerze nie lubił. Barcz miał psa — jamnika. Bączek więc całą swą niechęć do właściciela psa, przelewał na biedne zwierzę. Gdy przechodził koło jamnika, nie omieszkiał zdzielić go łaską lub rzucić weń kamieniem. Jamnik serdecznie nienawidził swego prześladowcy.

Aż pewnego dnia, gdy jamnik zawarczał na widok swego wroga, Bączek uśmiechnął się oblesnie, wyjął z kieszeni kawałek kielbasy i rzekł przytulnie do psa.
— No, skończyły się już te żarty. Teraz zostaniemy przyjaciółmi.

Jak się okazało, Barcz tego dnia został kierownikiem biura.
Z. G.

SKORPION

Śmiecie, śmiecie...

Śmiecie, śmiecie, kto was wymiecie?
Trzej lokatorzy pracują w fabryce.
Dwaj na budowie, jeden zaś w biurze.
A śmiecie nie mogą leżeć dłużej, Bo przecie Zasmiecają ulice.

Śmiecie, śmiecie, kto was wymiecie?
Może buchalter, doktor, stolarz, Kierownik sklepu, profesor, golarz, Może położna, uczeń, inspektor, Szofer, dyrektor, Bóg wie kto...

Śmiecie, śmiecie, kto was wymiecie?
Z ulicy przed samą bramą? Racja, jest jeszcze dozorca Antoni, Jakoś nie pomyślałem o nim. On o swej pracy — tak samo.

W związku z powolnym załatwianiem wniosków o kredyty nawozowe na zasadzie tzw. skryptów dłużnych.

Na myśl tę niejedno czoło się zasepiło: Ileż winni chłopom biurokracji teści, Kiszac przez rok cały w aktach wnioski różne... To nie urzędnicy, ale skryby dłużne.

O gromadzkich kumotach
Ze wspólnie uprawiali kanty w sposób nowy
Mówili o sobie: zespół uprawowy...

Prelegentowi z „Wiedzy Rolniczej”
Niech twa pogadanka tej sławy zażywa,
Aby zawsze była jak pasza...
Treściwa.

JULIAN MIKOŁAJCZAK

WŁODZIMIERZ SCISŁOWSKI

Dobre serce Piotra

Piotr do Jana rzekł raz: Kumie! troski twe na wskroś rozumiem, nie masz konia — konia dam ci — nie chcę, abys bumelancil.
Jan wziął konia — pole zorał — szybko z pracą się uporał — cóż to znaczy skrawek pola!
Więc do Piotra już za tydzień by zapłacić — z forszą idzie; a ten krzyczy: Janie, hola!
Dobre serce mam dla Kuma — niepotrzebna mi ta suma. — Wpiszę wszystko na odrobki — przyjdiesz do mnie na wykopki...

Tak z pocziwych słów matacza wylaził pysk wyzyskiwacza.

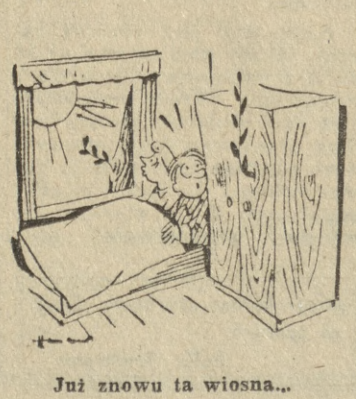
Nieporozumienie wiosenne



— Bardzo przepraszam. Jak pani przewiduje wynik meczu Kolejark-CWKS? („Frischer Wind”)



— Piękna pogodę mamy dzisiaj...
— Owszem... Ale chciałam panu zwrócić uwagę, że ta panienka nie jest pod moją opieką.

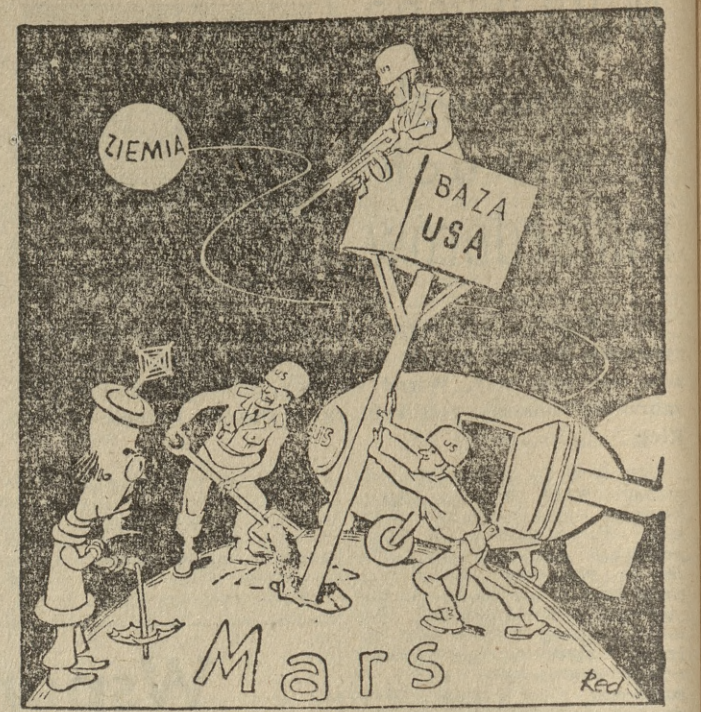


Już znowu ta wiosna...

JOANNA DĄBROWSKA

Pięć groszy

Wsiadłam do tramwaju i od razu zaczęłam gorączkowo szukać drobnych.
Niestety, najmniejszym banknotem, jaki znalazłam, było pięć złotych.
— Jeżeli dam konduktorze te pięć złotych — myślałam — to rozmowa na pewno potoczy się tak:
— Nie mam reszty. Proszę o drobniejszą.
— Niestety, to najdrobniejsza, jakie mam.
— To niech pani dobrze poszuka.
— Już szukałam. Wszędzie. Naprawdę nie mam.
— A ja niby skąd mam mieć? Jak pani myśli?
— Nie wiem...
— No właśnie! I ja też nie wiem. Przed chwilą objęłam służbę.
Przeraziłam się. A jeżeli konduktorka każe mi wysiąść?
A konduktorka była coraz bliżej. Zaczęłam od nowa szukać po kieszeniach. I nagle pod podszewką wyczułam twarde krążek. Było to pięćdziesiąt groszy. Teraz już spokojnie czekałam na konduktorkę. I właśnie w tej chwili przypomniałam sobie wydarzenie sprzed dwóch lat.
...Tramwaj. Podaje konduktorki pięćdziesiąt groszy. Pan obok mnie też podaje pięćdziesiąt groszy.
— Pięć groszy! — żąda konduktorka.
— Kręć głowę, że nie mam. Ten pan też kręci, że nie ma.
— Nikt z państwa nie ma pięciu groszy? — oburza się konduktorka.
— Nie — odpowiadamy chórem.
Konduktor ma nieprzenikniętą minę, patrzy przed siebie, zastanawia się, grzebie w torbie i podaje mi dziesięć groszy.
— Podzieli się Pani z tym panem...
Bardzo długo nie zgadzaliśmy się, wypychając sobie w ręce nieszczęsną dziesięciogroszówkę. Kiedy wreszcie udało mi się wrzucić ją temu panu do kieszeni — wysiadłam. On wysiadł za mną. Próbowałam zmienić dziesięciogroszówkę w bucie z wodą sodową, ale nie udało nam się. Wreszcie nieznajomy zadał ode mnie numeru telefonu.



AMERYKAŃSKA „OBROŃA”
Mieszkaniec Marsa: Co tu robicie?
Amerykanin: Musimy bronić granic Stanów Zjednoczonych.
(„Neues Deutschland”)

Ludowe bajki hinduskie*)

CHŁOP I SŁUGA
Chłop i sługa maharadzy spotkali się na drodze. Sługa zapytuje chłopca:
— Powiedz mi, przyjacielu, ilu jest w twojej wsi mieszkańców, ile domów, ilu fryzjerów, ilu służących i ilu kapłanów?
Chłop mu odpowiada:
— W mojej wsi jest dziewięciu mieszkańców, dziewięć domów, dziewięciu fryzjerów, dziewięciu służących i dziewięciu kapłanów.
— Jakże tak może być? — zdziwił się sługa maharadzy.
— Tak jest: w mojej wsi wszyscy mieszkańcy sami wykonują swoje prace.

PIĘĆ CHLEBÓW
Pewien człowiek codziennie kupował pięć bochenków chleba.
Kiedyś spotkał swojego przyjaciela, który go zapytał:
— Powiedz mi, dlaczego zawsze kupujesz pięć bochenków chleba?
A on mu odpowiedział:
— Jeden zjadam sam, dwa komuś pożyczam, a dwoma spłacam dług.

— Nie rozumiem cię — odpowiada przyjaciel.
To bardzo jasne: jedem chleb sam zjadam, dwa chleby daję dzieciom, a dwa — oddaję ojcu i matce.

MĄDRY LEKARZ
Przyszł do lekarza chory i mówi:
— Panie doktorze! Boli mnie brzuch, wylecz mnie!
— A co wczoraj jadłeś? — zapytuje doktor.
— Zielone owoce! — odpowiada chory.
— Dam ci lekarstwo do oczu.
— Dlaczego do oczu?
— Żebyś na drugi raz lepiej patrzył, co jesz.

Przełożył z rosyjskiego Fr. Swarzyca

*) Bajki zapisane i przetłumaczone z sanskrytu na język rosyjski przez sławnego uczonego rosyjskiego J. P. Minajewa w 1875 roku w czasie jego pobytu w Indiach.

To i owo...

Związek Niezależnych! Tak nazywa się sfaszowana frakcja parlamentarna Austrii. „Poszczycić” może się ona osiągnięciami, które wywołać mogą jedynie uśmiech politowania.
Oto niektóre dzienniki austriackie dmuchające razem ze Związkiem Niezależnych w jeden puzon, przemilewały 16 rocznicę hitlerowskiego Anschlusu oraz 9 rocznicę wyzolenia Austrii przez Armię Radziecką.
Chodzi bowiem o to, żeby nie drażnić Adenauera oraz by zatrzeć nienawiść Austriaków do militarysty niemieckiego.
Rzeczywiście niezależni: nie zależy im na wolności.

Francuski dziennik „Monde” zamieścił opis walk pod Dien Bien Phu w Vietnamie. Opis kończy się „białą plamą” i uwagą redakcji, że tekst, który miał się w tym miejscu znaleźć, został skreślony przez cenzurę.

Francuska cenzura wyszła z założenia, że lepsza „biała plama”, niż tekst mówiący o czarnej plamie, jaką jest brudna wojna w Vietnamie.

A więc: Tolstoj, Dickens, Goethe, Mickiewicz, Rabindranath Tagore, Zweig, Galsworthy... Wystarczy.

Ach!

Ach, jaka jestem zmordowana! Ach, ile miałam spraw od rana! Ach, nie uwierz chyba nikomu! (ja pierwszy, bo jak wierzyć w mit?)

O pewnej stołówce

(wg „Krokodyla”)
Kiedy się studiuję jadłospis (kartę). Widzi się to, czego wy już nie [widzicie]. Ze się tylko daty zmieniają [warto]. Wykuć takie „menu” na [kamiennej płycie].

To nie sztuka...

To nie sztuka złapać kruk. Ani sowe wziąć za głowę. Leczą jest sztuka, nie igraszka. Sznur gdzieś dostać do żelazka. Sk.

t. h. n.